

ROMANS I POWIEŚĆ

Rok XII.

Warszawa, dnia 13 marca 1920 roku.

Nr 11.

Kazimierz Zdziechowski.

POWIEŚĆ.

PRZEGRANA.

11

Małkowski zamknął się, jak tylko on to umiał, w sobie, pochłonięty przesileniem wewnętrznym... Zaduma była o tem, by zejść z drogi współzawodnikom, którzy tylko czekali na jego ustąpienie—oskarżając go, jedni o bigoterję, inni o bezbożność,—zaprzestać walki z rodziną, z rządem, z otoczeniem, odpuszczając od codziennego ujadania się z małostkami życia i małymi ludźmi, do czego nie posiadał uzdolnień, wyjechać z głuchej prowincjonalnej miejsciny, w której okrywał się pleśnią, odetchnąć pełną duszą i pełnym rozumem, odetchnąć powietrzem krakowskim, które kochał nade wszystko, zabrać się do roboty pisarskiej, zakopać się w bibliotekach. Tęskniące oczy jęły wspominać najdroższe, tak dawno już niewidziane miasto, strzeliste wieżycy marjackie, zamglony zarys oddalonych gór, wiecznotrwałą chwałę Wawelu, która z oddali przeciwstawiała się doczesnej przemocy tutejszego najeźdźcy, wspominały gmach uniwersytecki, gdzie przebywał tylko w roli przelotnego gościa, gdzie, podziwiając natchnionego na obrazie Kopernika, postanowił badać, nie obrotu ciał niebieskich, lecz obrotu wzniosłych duchów. Zaduma była o sławie, o radosnej młodości, wolnej od jarzma obowiązku, o szczęściu na ziemi... Zaduma była o niej, która była sławą, była radosną młodością, była szczęściem na ziemi. Potem wszystkie tamte marzenia rozwiały się jak mgła w słońcu i została tylko jedna myśl, jedno pragnienie, jedna tęsknota.

Na stoliku głośno cykał budzik, nastawiony na godzinę szóstą. Bardzo szybko mknęły sekundy, których bieg prozaicznie oznajmiał zegar, bardzo wolno mijała ta noc burzy zimowej i walki.

Stanowczym rozkazem: nie wolno—Małkowski unicestwił marzenie...—porzucać placówki nie wolno... Co stanie się z zastępem młodzieży, z temi kilku setkami dzieci, za które odpowie kiedyś przed krajem, ze sprawą, której poświęcił się... przedewszystkiem ojczyzna i służba, przedewszystkiem hart niezłomnej woli, nieskazitelna czystość życia... Nie dla niego już czarowna dola szczęścia... Nie wolno!—On zapomni, on słusami bunt serca... Tylko oczom skarżyła się wciąż żalność boleśnie wymuszonego uśmiechu na drogiem obliczu i oszałały z bólu, z zazdrości, z rozpaczyszatan wył w duszy, gdy jawiło się widzenie rozbawionej Ewy na kolanach Chabrowskiego.

O naznaczonej porze budzik odezwał się natrętnym hałasem. Czas było otrząsnąć się z cierpienia czas podejmować chłopców ze snu...—Michałko Szulak największy z łobuzów zastąpił w tej czynności pana kierownika i skrapiał swoich towarzyszy wodą, potem zaś wpadł do kuchni, wyrwał z pieca polano i z płonąca żagwią, niby z pochodnią, przebiegał pokoje napelniając je śwędem i dymem.

Małkowski dźwignął się powoli.

Bezwzględna ręka rozdarł był na strzępy złotą lamę snów o szczęściu, ale została mu w palcach niłka jak pajęczyna nić wątpliwości i nie umiał dać sobie z tym pasmem pajęczyn rady. „A jeśli ona naprawdę kocha... jeśli naprawdę szuka dróg trudu i poprawy... jeśli on skrzywdził ją i sponiewierał i sam popchnął ku złemu?... nie przestało odzywać się pytanie.

I naraz w brzasku nowego dnia, który wschodził, cień wątpliwości przekształcił się w nadzieję.

W którymś z pobliskich kościołów zadzwoniono na prymarję... Stara kucharka otwierała po kolei okiennice... Ranek był po nocnej zawierusze pogodny...

W niskich izbach internatu rozległ się rażny głos kierownika.

IX.

Tymczasem samotna w swoim przedziale I klasy pani Rogońska siedziała nieruchomo, nienaturalnie sztywna i wyprostowana. Od chwili gdy kurjer ruszył, spojrzenie utkwione w ciemno wiśniowy plusz oparcia przeciwległej kanapy nie zmieniło tak jak poprzedniej nocy kierunku, i tylko oczy, jakkolwiek świecące, inny miały wyraz, i wszystkie marzenia wczorajszego, rozkosznego snu na jawie poginęły do ostatka. Rzeczowo i zwięźle z całym wyłączeniem uwagi Ewa zastanawiała się nad tem, co należy jej przedsięwziąć, aby nie potrzebować wracać na Wspólną. Tego pragnęła obecnie przedewszystkiem... Sprawa przedstawiała się najgorzej. Z dwu zabranych na drogę setek pozostała tylko szczupła garść rubli, klejnoty mężowskie, gdyby ich nie odesłała z powrotem, starczyłyby na niezbyt długi przeciąg czasu, — fachu nie posiadała żadnego, nie nauczyła się pracować, stryjostwo Starzechowscy zasklepili się w nieszczęściu swoim i ochłodli dla niej, zresztą ona nie chciała znaleźć się na niczyjej łasce — zostawała tedy chyba cela klasztorna. Ale religijność jej, zawsze przeciętna, — podczas ośmioletniego pożycia małżeńskiego pod wpływem radykalnej propagandy męża i dokuczliwej bigoterji stryjenek Rogońskich stygła z każdym rokiem. A ponieważ nie było pieniędzy, fachu, powołania zakonnego, ponieważ nie było sił do walki, ani hartu, ani męstwa należało wracać do męża, do familji Rogońskich, do dawnego istnienia, ażeby nudzić się, stroić się, i stać się w końcu ko-

chanicą jednego z dwu czyhających na jej cnotę hrabiów czy Chabrowskiego.

Ewa odczuwała wstręt zarówno do życia jak do osoby swojej tak nieodpornej, niezdolnej i nikczemnej, że nie zostawało jej nic innego, jak ulegle zasiąść w haremie znudzonego nią od dawna sułtana.

Ewie zdawało się, że wołałaby raczej umrzeć, niż znaleźć się znów w kamienicy pod Nr. 28. Lecz, nigdy jeszcze, do nikogo nie przysłała śmierć wówczas, gdy się jej wzywa. Długo żyją ludzie tak jak ona nikomu niepotrzebna, przez wszystkich opuszczona, od Boga zapomniana.

Pani Rogońskiej przypominało się podstępne szeptanie Chabrowskiego, który twierdził, że zna sekret osiągnięcia wszelkich pragnień na ziemi. Czemuż nie nauczyła się owego tajemnego, niedobrego sposobu, chociaż ogarniał ją wówczas zabobonny lęk. Wyprosiłaby sobie teraz nagłą, krótką chorobę i zgon.

Czyliż nic już innego nie pragnęła dla siebie?

Nieruchomo patrzącym w ciemno wiśniową kanapę oczom Ewy, ukazał się bezwzględny apostoł, usłyszała zimny, oficjalny głos jego, żywą ranę serca dotknęło niby rozpalonem żelazem, wspomnienie zniewagi, powróciła żalosna myśl, że oto ona jest nikomu niepotrzebna, sama na szerokim świecie, od Boga zapomniana.

— Na co Ewuni arytmetyka, języki, guwernantki,—żartobliwie mawiał ojciec nie dla pracy i trosk przyszła na świat Ewunia, ale dla śmiechu i uciechy, na to, by być radością wszystkich żyjących... A dziś, gdybyż jedno chociaż by serce na ziemi, jedna ręka przyjazna!

Ewa upadła twarzą na pokryty płótnem w czerwone pasy materac i rozszłochała się. Cudną złotowłosą głowę podrzucały spazmy łkania. Dwa razy tylko w życiu płakała równie szczerze i beznaściejnie; pierwszy raz małą dziewczynką, gdy żyd lichwiarz zabierał za długi sprzęty łuzańskie a między nimi ukochaną szafkę mahoniową, schowanie zabawek i w wiele lat potem, gdy złożono do trumienki pokryte strupami ciało syna.

I wówczas tak jak dziś roilo się jej, że zwisło nad nią nisko czarne, koloru węgla, niebo, że z otworu w niebiosach wychyla się ku niej murzyńskie oblicze ciemnego Boga, który grozi jej czarną, drobną, mocno ściśniętą prawicą. Ten obraz dziwny i straszny pobudzał ją

do rozpacz... Nie widziała dla siebie ratunku, nie czuła żadnej nad sobą opieki.—Nikomu niepotrzebna, od wszystkich zapomniana,—snuło się w biednej, wstrząsanej szlochaniem prześlicznej, złotowłosej głowie.

— Gdzieżby tam on troszczył się o mnie, on taki mądry, wzniosły, doskonały — myślała pomimo woli o tym, którego imię postanowiła wykląć, o Małkowskim. I choć bolały zniewaga i krzywda tak pokornie odczuwała nędzę i nicość własną, że nie dziwiła się, że mądry i doskonały Małkowski odwrócił się od niej, głupiutkiej i lichej.

„Wstążeczki, zabaweczki, figliki, tańczyki“—żartobliwie dokuczał jej ojciec, bo lubiła nowe sukienki, różowe kokardy, płasy i śmiech a stroniła od książki — i przepowiadał ojciec, że samą uciechą będzie jej życie.

Ach, jakże omylił się ojciec, jak zawiodły prorocтва.

Turkot kół biegnącego pociągu dudnił nad samem uchem i zdawało się, rozsadzał czaszkę, sunące koła wgniatały się, rzekłbyś, w sam mózg i miażdżyły serce. Zdawało się, rozprysnie się głowa, ucichnie ból i przyjdzie spoczynek, zmilknie zagłuszony turkotem jęk, zdawało się, szlochanie rozszarpie piersi i żal wraz z duszą spłynie łzami.

Ale nie pękły ani serce ani czaszka i wciąż rozdzierał całe jestestwo straszliwy jęk, niby ów okropny, połączony w jedno z krzykiem, ostatni ból rodzącej, i nie odstąpiło ani na chwilę cierpienie.

Nawet krótkie a tak słodkie мгние, gdy śniło się na jawie, że twarda, opalona ręka „papulka, papuleńki“ szorstko głaskała Ewuni włosy, i zabrzmiiała w pamięci ulubiona zwrotka zwykłej, pieśzcotliwej pociechy niepoprawnego optymisty:— „nie martw się Ewuniu wszystko się jeszcze jakoś ułoży“ — nawet owo błogie мгние nie przyniosło ukojenia,—i tylko rzęsiściej puściły się łzy.

Śród nocy konduktor z kontrolerem przyszli oglądać bilety. Jeden z nich zadziwił Ewę podobieństwem do Chabrowskiego. Przywidziało się jej, że dwaj mężczyźni mieli zaciekawione spojrzenia, litościwe uśmieszki, że konduktor rozmyślnie latarnią zaświecił w zapłakane oczy.

Zapanowała nad sobą, wyprostowała się, przybrała niedawną, nienaturalnie sztywną pozę i tak, nie ruszając się, przesiadła do samej Warszawy.

O 8-mej rano Karol z trzepaczką w jednej ręce i ścierką w drugiej otworzył jej drzwi wspólnego mieszkania na Wspólnej. Mąż w starym, letniem, koloru mlecznej kawy, palcie, które abnegatowi zastępowało ranne ubranie czy szlafrok spotkał w przedpokoju. Znać było, że ucieszył się bardzo. Sam przyniósł jej, niezgrabnie dźwigając tacę, przewalając się z nogi na nogę, stawiając drobne, śmieszne kroczyki do łóżka śniadanie—usiadł u wezglowia na niskiem krześle.

Dalszy ciąg nastąpi.

WACŁAW SIEROSZEWSKI.

POWIEŚĆ.

TOPIEL

29

— Siadaj, siadaj Zosiul.. Napijesz się pewnie herbaty. Zdejm kapeluszl.. Piechotą przyszaś?..

— Piechotą.

— Cóż tak?

Matowa twarz dziewczyny różowym oblała się obłokiem.

— Nie chciałam *trwożyć* nikogo! — bąknęła. — Mamy gości i konie wciąż ojcu potrzebne.

Ściągnęła rękawiczki i wolno odpiła kapelusza.

Pani Wojciechowa obrzuciła surowem spojrzeniem jej bluzkę batystową w modne, duże bladzielone wzory, na zgrabną piękną kibić, pierś wyprężoną teraz zarzuceniem rąk za głowę, na zgrabne nóżki

w żółtych wysoko sznurowanych bucikach, wyglądające z pod szarej bareżowej spódniczki.—Dziewczyna czuła na sobie to śledcze, prawie wrogie spojrzenie i schowała się przed niem, siadając pośpiesznie za stół.

— U nas w mieście ma się utworzyć komitet opieki nad żołnierzami, który będzie też zajmował się przesyłaniem na front listów i przesyłek... — mówiła, czekając na herbatę.

Pani Wojciechowa podała jej filiżankę i sobie postawiła naprzeciw.

— Dobrze to będzie. Bo przesyłki zawsze giną. A któż tam będzie?..

— Prokuratorowa, sędzina, popadja, isprawnikowa... pani Szymkiewiczowa, siostra moja, Rożkowa... Dużo, całe miasto!.. A z panów ma należeć: Archangielów—akcyzny, znajomy państwa—pan Golde, dalej pan Zubkow, pan Tarnowski, Dmitrji Iwanowicz Atlasow i rotmistrz Keller..

— Któż to jest ten Atlasow, nie słyszałam.

Znowu różowa chmura przesunęła się po twarzy dziewczyny.

— To nowy. Urzędnik do specjalnych poruczeń... przyjechał w sprawie tego... złota... Mieszka u nas...

— A ty, Zosiu, nie należysz do komitetu?

— Nie, nie będę miała czasu!..

— Cóż tak?

— Muszę w domu... prowadzić... gospodarstwo!.. Pani myśli, że ja już zupełnie do niczego?.. Pani się myli!.. Ja nawet chcę prosić panią, żeby mi pozwoliła sobie pomóc... Wszystko potrafię... Tylko pani pozwoli, że włożę fartuch Frani... — gadała prędko, powstając, przymilając się i przypadając ustami do rąk starszki.

— Ależ co znowu!.. Gościem jesteś, nie trzeba! Doskonale dam sobie rady sama... Szczególniej teraz, kiedy przybył Gawar i Bełza i Frania więcej będzie miała czasu...

— To ich wypuszczono? Ach, jak to dobrze!.. A myślałam, że już nic z tego nie będzie...

— Mówił mi, mówił Kazimierz, że miałaś prosić...

— I prosiłam, ale mi niewiele obiecano...

— No, ale widzisz zrobili. Ty masz wpływ... Inaczej i być nie może!..

— Ach, Boże mój! Jakże to wszystko nieprzyjemne! Wie pani, ja u państwa zostanę; choć na krótko, choć na tydzień... Ten wstrętny chce, żebym ja była jego sekretarką, ale ja nie chcę, nie chcę... Niech sobie będzie Bronia albo Rożkowa, ale ja nie chcę... Dlatego ja tu... zostanę!.. Wie pani, przyszła mi myśl: pani powie, że pani chora i że ja muszę panią zastąpić!

— Dziecko moje, dzieckol!.. Ojciec się twój nigdy nie zgodzi i ja nigdy nie powiem...

— W takim razie bez niczego... Powiem, że zostaję i basta!.. To się nos temu trędowatemu wyciągnie...

— Jakiemu trędowatemu?

— No, Atlasowowi. Wie pani, ja się nawet jego boję, taki wstrętny... A spojrzenie ma jak dwa rożny!

— A kiedyż twoje wesele?

Dziewczyna potrząsała głową:

— Wesela nie będzie!.. — przeciągnęła stanowczo. — Zostaję tutaj. Zaraz biorę się do mycia szklanek a potem idę plec do ogrodu... Widziałam moc chwastu...

— Tak, miałyśmy z Franią teraz co innego na głowie!

— Więc postanowiono. Musi się tatuś zgodzić, żebym i ja miała wakacje...

Śpiewając skoczyła do pokoiku Frani i wróciła z wysoko podwiniętymi na białych rękach rękawami i w niebieskim fartuchu pod szyję.

— Jestem! — rzekła.

W gruncie rzeczy pani Wojciechowa była rada z tych odwiedzin. Nieustanne szczebiotanie dziewczyny nie pozwalało jej „zagłębiać się w myślach” a zabawne jej uwagi o ludziach i wypadkach, rozweselały i rozpędzały oblegający starą smutek. Frania, która przyszła w południe po obiad dla żeńców, też się niezmiernie ucieszyła zastawszy przyjaciółkę i dowiedziawszy się o jej zamiarach.

— Byle tylko cię zostawili, byle tylko! Byłoby doskonale!

— Ano, będziemy się targować!.. — odpowiedziała z powagą Zosia. — Dawniej to by nic, tatuś na pewno-by pozwolił!.. — dodała tajemniczo.

Frانيا pomyślała o Stupajewie, ale nie śmiała wprost o tem zapytać...

— Potem, wieczorem! — postanowiła sobie.

— Obie poniosły obiad na pole, Frania dźwigała koszyk, Zosia wielki czajnik, pełny gorącej herbaty.

— Ful!.. Jaki ciężki i jaki pękaty... Muszę go zdaleka trzymać od siebie, bo mi pobrudzi sukienkę a nie mogę uradzić... Nie lubię pękaty!..

— I ja też!.. — śmiała się Frania.

— Lubię blondynów, z szafirowymi oczami w ciemnej oprawie, opalowych, z białym czołem, wzrostem nie bardzo dużych, ale smukłych, mięsistych i twardych... — opisywała mniej więcej Kazimierza. — A ty Franiu?

— Ja?... Ja... nie wiem jeszcze!.. — wykręcała się dziewczyna...

— Ee, blagujesz!

— Blagujesz?... Coś powiedziała?... Widzę, że cię Gawar uczy po polsku.

— Wcale nie Gawar a Bełza...

— Wiesz: on też tam jest!..

— A wiem. Cóż, nic mi nie powiesz o swoim ideale?... Pewnie brunet, bo ty jesteś blondynka!

— Ech!.. Daj mi pokój. Teraz nic nie powiem. Ale jak dłużej u nas pobędziesz, to kto wie, może się namysle... Niech cię to zachęci!..

— Nie potrzebuję zachęty...

— Więc powiem ci tylko, że nie cierpię tych modnych teraz podstrzyżonych wąsów... Lubię, żeby się to naturalnie wilo: broda, włosy, wąsy...

— Ba!.. Żeby się wilo!.. A jak się nie wije...

— Chłopcy spostrzegli zdaleka dziewczynę i wybiegli na spotkanie, aby im zabrać ciężary.

Pan Wojciech kosę położył i zapaliwszy fajeczkę patrzył wesoło na młodzież i słuchał z uśmiechem jej radosnego świągotu.

— Jakże to, Zosiu!.. Najęłaś się do nas na żniwa?! Dobra nasza!.. Cóż cię do nas przynęcało?..

— Ach tak, dokuczyło mi wszystko!.. Chcę, żebyście mi całkiem wzięli. Zgoda?... Od roboty zaraz zgrubieję i będę tęga dziewczuchą!.. — odcinała się, śmiejąc.

— Niewiadomo tylko, co ojciec na to powie!.. My, owszem... — zauważył poważnie stary.

— Ano wiem, wiem!.. Wciąż w kółko to samo!.. Co się będę naprzód martwić... Tylko patrzeć jak przyjedzie!..

— Nie lepiejbyś sama poszła i jego poprosiła, spytała?... — radził pan Wojciech.

— Nie, nie lepiej!

Żeńcy zabrali się do jedzenia, podczas gdy dziewczęta przygrzewały herbatę, na roznieconym naprędce ogniu. Rozmowa przeniosła się na inne przedmioty, na wybuch wojny, na oczekiwaną powszechną mobilizację, na pogłoski, że i politycznych wygnańców w wieku popisowym pociągną do wojska.

— Pójdziesz, Bełza.

— Ano, pójdę, ale drapnę. Bić się za Rosję nie myślę...

— My bo już niemamy co mobilizować. Cała nasza mobilizacja... poszła!.. — powiedział do Zosi z przykrym uśmiechem pan Wojciech.

Dziewczyna zauważyła ukrytą bolesć w jego twarzy i zlekka pobladła.

— Wrócił!.. — rzekła stanowczo. — Wróci!.. I wszystko będzie dobrze!..

— Dałby Bóg! Dobrze, Zosiu, żeś przyszła, będzie starej z tobą lżej, a zawsze ten pierwszy dzień najgorszy...

Dalszy ciąg nastąpi.



Z MOJEGO ŚWIATA.

Najzapalczywsi z patryotów naszych, chcąc obniżyć idee niepodległości Litwy, Białorusi lub Ukrainy, mienia ją wynalazkiem pruskim.

Być może. Ale czyż podobny sposób argumentowania nie jest także wynalazkiem pruskim?

* * *

Dla całego zastępu sentymentalistów nie było przez czas długi milszej uciechy nad szarpanie nazwiska Paderewskiego. A przecież rozszarpywali oni tylko własny swój zachwyt z dnia przedwczorajszego.

* * *

O! szanowni kaznodzieje rozsądku! Zalecacie wszystkim trzeźwość, wyrachowanie, równowagę...

Niewdzięczni! Zapominacie, że gdyby nie minuta szalu w rozważeniu waszych ojców, nie byłoby was wcale na świecie. Ani waszego rozsądku.

* * *

W ekstazie miłosnej człowiek wstępuje na najwyższą krawędź bytu, poza którą odsłania się już tylko — przepaść nicości.

* * *

— Szliśmy we dwoje. Dzień był jasny.

— Tak? powiadasz, — dzień jasny?

— ... mroźny, lecz jasny. Szliśmy oboje, szukając słońca na przestronnych zamiejskich ulicach...

— I co dalej? Co dalej?

— Dalej były ogrody, ogrody, i rozpięte nad ogrodami niebo, twarde i błękitne, jak stal: było mroźno, słonecznie, młodo!

— Szukaliście słońca. Było was dwoje. Ogrody, ogrody, niebo... ale cóż więcej?

— Jakto? Nic więcej. To nam zupełnie wystarczało.

* * *

Wszelka walka, zarówno między jednostkami, jak między narodami

i związkami narodów, trwa dotąd, póki nie został zrozumiany jej sens.

Gdy w przeciwniku, który był naszym wrogiem, odkryliśmy towarzysza broni, który także ma powierzony sobie posterunek czci i bohaterstwa, wtenczas oręż wypada nam z rąk, gotowych do zgody. Pokój pojednania staje się wtenczas koniecznością psychologiczną. Miłować nieprzyjaciół swoje, jak żąda Ewangelja, i nie zabijać ich, to — przykazanie trudne do spełnienia; ale, zrozumiałwszy, nieprzyjaciela swego pokochać, i — kochając go — zabijać: to byłoby progiem oblędu.

* * *

Juljusz Kaden: oszalała żarłoczność wzroku. Oczami chłonie więcej, niż może krwią ukochać, lub krwią znienawidzić.

Wit.



EDWARD LIGOCKI.

Kartki z podróży.

Byłem w ciągu długich lat wojny o tyle szczęśliwszym od innych, że miałem pewną wolność ruchów i pracując nad wytworzeniem ośrodków dyplomatycznych polskich obserwowawałem życie różnych narodów, zarówno neutralnych, jak i objętych zawieruchą wojenną.

W ciągu ostatnich miesięcy roku 1919 przejechałem parę razy przez różne kraje Europy. Garścią spostrzeżeń moich chcę się podzielić z czytelnikami „Świata”.

a) Włochy.

Imperjalizm włoski datuje się od pierwszych czasów powstania państwa włoskiego. Jeszcze Włochy były rozdrobnione na szereg państewek — a już się wyczuwać dało to dążenie mocarstwowe Italji, którego wyraz tak łatwo dostrzec dzisiaj w całej polityce rządu rzymskiego. Zapewne jest w tem pewien głos krwi oraz wielkie tradycje rzymskie.

Nie bez wpływu były poczynania Napoleona i krótki okres wspaniałości Italji pod jego panowaniem. W każdym bądź razie miał swoją rację Bismarck, który zwracał uwagę ówczesnego rządu florenckiego, że morze Śródziemne powinno „znów stać się wewnętrznym jeziorem ludu włoskiego, spadkobiercy wielkiego państwa Cezarów”. Szedł w tym kierunku Cavour i sprzyjał nadmier-nemu rozrostowi aspiracji włoskich, których wyraz widzimy w każdym prawie przejawie włoskiej polityki.

Ideą Bismarcka było, rzecz prosta, zagrożenie posiadłości francuskich, Riwier i Algieru. Było na ten temat wiele zatargów i sprzeczności. Współczesna sytuacja jednak, konieczność liczenia się z dążeniami Ententy i wymagania franko-włoskiego aliansu skierowały aspiracje rzymskie na Wschód. Wyrazem tego była wyprawa do Trypolitanji, zdobycze kolonialne w Afryce wschodniej, oraz cały dzisiejszy program „włoskiego

Adriatyku”, który chcieliby Włosi, w myśl przetransponowanej recepty Bismarcka, uczynić swoim „wewnętrznym jeziorem”. Durazzo, Pola, Fiume wreszcie — wszystko to są próby zawładnięcia tem morzem, klucze którego — Triest i Bari trzymają Włosi już w ręku.

Przyznać trzeba, że mają szalone szczęście. Zdawałoby się, że po klęsce pod Caporetto sen o potęgze włoskiej odsunął się na długie lata w przyszłość. Tymczasem szczęśliwe rozwiązanie wielkiej wojny przyniosło Włochom nieobliczalne korzyści. Wobec zniknięcia monarchji austro-węgierskiej Włochy niewątpliwie uzyskały hegemonję w dorzeczu Adriatyku, którą jedynie rosnąca siła państwa jugosłowiańskiego mogłaby w pewnej mierze podkopać.

Z chwilą przejechania granic, włoskiej czuje się ten ogólnonarodowy sen o potęgze. Uderza przede wszystkim niesłychany, jak na włoskie stosunki, porządek. Ma się chwilami wrażenie — że tak gospodarować może tylko naród świadomy celowości politycznej poczynąć rządzący i dążący pełną parą do wykorzystania jedynej w swoim rodzaju konfiguracji politycznej świata. Kolejne

funkcjonują znakomicie. Dworce doskonale utrzymane. Miasta znacznie czystsze aniżeli dawniej bywało. Ktoś, kto by nie widział Włoch przez ostatnich lat piętnaście—dwadzieścia mógłby śmiało sądzić, że znajduje się w innym kraju. Aprowizacja doskonała — ceny stosunkowo dość niskie — porządny obiad 4—6 lir, pokój w pierwszorzędnym hotelu 8—10. Rzekomy rozrost dążności lewicowych i groźny ruch proletariatu jest w pierwszym rzędzie wynikiem południowego temperamentu i typowym włoskiem krzykactwem. Ruch robotniczy nie grozi zupełnie porządkowi społecznemu, a zwłaszcza nie przeraża rządu. Nietylko oficjalna polityka rządu włoskiego w Paryżu, ale i nieoficjalne wyprawy, jak np. cały eksperyment fiu-meński d'Annunzia spotykają się z całkowitą sympatią mas, tych samych, które rzekomo występują przeciw istnjącemu porządkowi rzeczy.

Spostrzeżenia te uderzają tem więcej, o ile się porówna to usposobienie ludności ze stanem mas w Polsce. Pod względem uświadomienia narodowego i dobrej woli przeciętny Włoch-inteligent stoi o całe niebo wyżej od Polaka, mającego się za rzeczywistego obywatela kraju i świadomego swych czynów.

U Włochów interes partyjny, dążności tego lub owego stronnictwa — nigdy nie wchodzi w kolizję z ograniczną polityką rządu.

Bezsprzecznie istnieje pewien krańcowy szowinizm włoski, zaborczość, imperjalizm. Ale wpływa to z pragnienia, by powstała rzeczywistość wielka i potężna Italia. Czuje się to w tonie każdego pisma włoskiego, w rozmowie z przedstawicielami rządu, z podróżnym w wagonie, ze służącym w hotelu. Gondolier wenecki z dumą pokazuje wielkie statki wojenne, stojące przed pałacem dożów, pod San Giorgio Maggiore, za Arsenalem przy Lido. Fiume jest na wszystkich ustach. Wojska jest w mieście niewiele — niema zwłaszcza tych włóczących się bez celu oficerów, których tylu się widzi w innych krajach, a w Polsce zwłaszcza.

Rzadko kiedy Wenecja była taka jasna i miła, jak w ostatnich tygodniach ubiegłego roku.

Przyjechałem do Wenecji nad ranem — kiedy przestrzeń laguny pokryta była lekką mgłą, przez którą przebijały się słupy czerwonych światel miasta, odbitych w spokojnej wodzie. Pociąg sunął się lekko po grobli, zapach morski wdierał się do wagonów. Na dworcu było odludnie i pusto.

Zostawiłem rzeczy na dworcu i poszedłem małemi krętymi uliczkami ku Piazza San Marco. Znajome, wąskie przejścia, mosty, lekko przerzucone nad ciemną wodą kanałów, mrok tych i w dzień słoneczny ciemnych uliczek. Świt szary sączył się gdzieś przez chmury — czerniały mury domów i wieżyczki kościołów — i było tak cicho wszędzie i pusto.

Fala nawet nie chybotwała w kamiennych obramieniach kanałów — nie budziło się życie miejskie, — a w ciszy tej głos zegarów spadał w morze i w zmrok, jakby ciężkie krople ołowiu.

Rozchyliły się gdzieś ściany i dachy — i na tle nieba szarego jak mgła, zabłysnął mi błado biały, różami kwitnący krzyż świętego Marka. Na Torre dell'Orologio bił zegar. Wiedziałem, że to dwie postacie spiżowe, drzące w posadach, biją młotami w dzwon. Znajome, kochane miasto.

Campanile wysmukły — kościół, już odsłonięty i workami piasku nie zakryty przed bombami Austriaków i oczyma przechodniów. Szara, w mgle uśpiona laguna — i zjeżone pogotowie wielkich statków pancernych.

Ale już ani śladu tej melancholji, tak żywej jeszcze w pierwszej strofie *Childe Harold'a*

„O'er the far times when many a
[subject land
„Look'd to the wingèd Lion's marble piles
„Where Venice sat in state, throned on
[her hundred i sles“...

Zmieniły się dziś czasy. I z dumą lew prastarej Rzeczypospolitej dźwiga odwieczny napis — *pax tibi, Marce...*

* * *

Pogodnym uśmiechem wieków ubiegłych i patyną starej architektury witała mię Padwa, miasto poetów, kolebka wielkości i sławy Jana z Czarnolasu. Jest w tem mieście do dzisiaj coś pośredniego między wsią włoską, a polskim Krakowem. W Padwie niema się zupełnie wrażenia, że zawałił się oto zupełnie świat dziewiętnastego stulecia, że wielka wojna huczy jeszcze w powietrzu i idą nowe czasy. Wszystko jest tam jeszcze anachronizmem — i tramwaj elektryczny, i sklep z damskimi strojami, kleconemi na modłę paryską. Wstaje w cieniu wielkich Sukiennic padewskich dawny świat snów. Proste stołki drewniane zasypane barwnym owocem nie zmieniły się chyba od wieków. Życie południa tętni ostro,

pośpiesznie, gwara wsi okolicznych dzwoni melodyjnie i świeżo, jak szum lasów i morza. Dobrze jest wyrwać się z Polski współczesnej i pograć na chwilę w tem odwiecznem włoskiem ustroniu.

W Medjolanie jest bez końca inaczej. Rozrasta się nowe, wielkomiejskie życie, echa przeszłości wymiecione z centrum zupełnie — kryją się gdzieś po samotnych klasztorach i giną, jak owa *Cena Leonarda*, osypująca się prochem ze ścian. W Medjolanie uderza znowu charakter mocarstwowy współczesnych dążeń włoskich. Wszystko dla tych ludzi jest środkiem zdobywania coraz większej władzy, rozbudowywania coraz większej ojczyzny. Jest to dziwnie harmonijne w przejawach aspiracji narodowych — środowiska, jednostki, wszystko idzie przed siebie z oczyma utkwionemi w sen o potędze.

Jeżdżąc po ziemi włoskiej myślałem o przyjaciółach Włochach i o zachowaniu się ich podczas wojny. Jeden z nich zwłaszcza łączył w sobie wszystkie cechy rasy i krwi, dążąc naprzód, przebojem.

Człowiek ten był zawodowym agentem politycznym — pół dyplomatą, pół publicystą. W t. zw. „karjerze“ zaszedł dość wysoko — młodość spędził na Wschodzie, zajmując odpowiedzialne stonowisko w poselstwach. Podczas wojny pracował jednocześnie z jednym z ministrów rządu, i z kilkoma kardynałami. Siła Watykanu była dla niego również jednym z narzędzi. Chodziło mu w pierwszym rzędzie o informacje z Austrii, krajów Bałkańskich, z Polski i Rosji, Wyzykiwał wszystkie stosunki. Konferował z Turkami — gdy rząd włoski angażował się w sposób stanowczy z czynnikami, dążącymi do osłabienia Wysokiej Porty. Rozmawiał z Węgrami, kiedy urzędowo groziło to procesem politycznym. Przyjaźnił się z Polakami, notował całe tomy informacji o Litwie i Rusi — a wreszcie wystąpił z projektem stworzenia biura informacyjnego o rzeczach wschodnich w Szwajcarii w Rzymie. „*Ze vous dirai, ser ami*“, powtarzał — rządy Ententy nie mają pojęcia co się na Wschodzie dzieje. My Włosi będziemy dobrze poinformowani — Londyn i Paryż będą musiały się do nas zwracać po wiadomości — pan rozumie? My Włosi będziemy trzymali rękę na pulsie — bo ci Francuzi i Anglosasi to przecież dziwnie uparci i ograniczeni ludzie.

Dalszy ciąg nastąpi.

Rubin Prymadonny.

31

Powieść w dwóch tomach.

Z drugiej strony było wiele takich rzeczy, o których nie wiedział, lub udawał, że nie wie, jak naprzykład nie znał imion jej siostr i braci. ani upodobań jej ojca i tem podobne. Ale rozumiała bardzo dobrze, że jeżeli przypuszczał, iż ona pomimo brody poznała go, i jeżeli chciał nie dopuścić do skonstatowania tego faktu, to właśnie będzie udawał nieświadomość w pewnych żywotnych sprawach, a nie zaprzeczał obznajmienia z wielu innemi. Mówił, że żyli z Levenem w przyjaźni; Leven pisywał do niego często, wtajemniczając go w szczegóły swego życia, bardzo dowcipnie czasem, ale zawsze z tem samem niezrównoważeniem. Niezrównoważenie, to była jego główna wada. Tak; on sam, Kralinsky był wtedy w Petersburgu, kiedy Leven zginął od bomby i widział go poprzedniego dnia — w tydzień potem wyjechał na krótko do Nowego Jorku, skąd właśnie powrócił. Wymienił nazwy obu parowców, na których odbył tę podróż, tam i z powrotem.

— Pan pojmuje, że spotkanie z kimś kto tak dobrze znał mojego męża, nie może mi być obojętnem — rzekła Lady Maud, zdobywając się na odwagę.

— Jak panu wiadomo nie byliśmy zgodnem małżeństwem, ale zdaje mi się, że gdyby mógł wrócić do życia i wiedzieć istotną prawdę, przebaczylibyśmy sobie wzajemnie.

Powiedziała to z łagodnym uśmiechem, bo nieraz tak jej się zdawało, i spojrzawszy na niego przy tych słowach spostrzegła nagły błysk, w jego zazwyczaj nie pewnych oczach. Serce zamarło w niej. Oparła się mocno o bort przy którym stali i chwilę patrzyła na morze w zamyśleniu. Ten błysk w oczach tego człowieka powiedział jej wszystko. Leven żył i stał obok niej. Zdobyła się jednak na odwagę, by rozmawiać dalej, zmieniła tylko przedmiot rozmowy, chociaż nie bardzo zręcznie.

W trakcie dnia pan Van Torp również doznał jakby olśnienia; śledził bowiem Lady Maud i Kralinskigo i myślał o nich często pomimo, że zaprzętały go sprawy jeszcze bliższe jego serca, niż dobro jego najlepszej przyjaciółki. W ślad

po tem, jako się tak można wyrazić, objawieniu, zadzwonił na swego lokaja.

— Słuchaj no, Stemp — zaczął. — Nie z jednego pieca chleb jadłeś, i znasz się na wielu rzeczach. Ile czasu potrzeba, aby komu urosła taka broda jak hrabiemu Kralinskiemu?

— Rok, proszę pana; ani dnia mniej, ależ czasem bywa dłużej. Jeżeli pan, proszę pana, życzy sobie także zapuścić brodę, to...

— A nie przypuszczasz, że dałoby się to uskutecznić w ciągu trzech miesięcy przy pomocy jakichś środków, pobudzających porost?

— To wykluczone, proszę pana. Brody u panów, którzy są zawsze goleni, rosną szybciej, ale uważałbym, że rok to jeszcze zamało, na wypiełgnowanie takiej pięknej brody, jaką ma hrabia.

— A jak myślisz, czy nie można by nalepiać jej sobie codziennie, jak się to praktykuje na scenie?

— Można by, proszę pana; ale to byłoby widocznem przy dziennem świetle.

— Hm! To dobrze. Nie mam zamiaru zapuszczać brody. Tak sobie tylko myślałem. Właściwie dzwoniłem na ciebie o czapkę. Masz jeszcze więcej takich? Ta się już trochę przybrudziła. Widzisz; i ma nawet plamkę z atramentu. Musiałem ją położyć na stole gdy pisałem. To jest słaba strona białych czapek, że się tak prędko brudzą.

Wkrótce potem pan Van Torp, upolowawszy chwilę kiedy mógł zamienić kilka słów z Lady Maud na osobności powtórzył jej słowa Stempa. Dziwnym zbiegiem okoliczności nie przyszło mu to pierwiej na myśl, że taka broda jak Kralinskigo potrzebowała sporo czasu, żeby urosnąć, i że Leven opuścił Londyn przed trzema miesiącami zaledwie bez brody. Spodziewał się że to odkrycie wywrze wielkie i pocieszające wrażenie na Lady Maud, ale ku jego zdziwieniu, przyjęła je z powagą i smutkiem.

— Nie, mój drogi — rzekła tonem przekonania — To jest Leven pomimo wszystkiego, co Stemp mówił o jego brodzie.

— W takim razie broda jest sztuczną i odpadnie — zauważył pan Van Torp z równą powagą — Stemp powiada, że to niemożliwe; ale albo on się myli, albo ty.

— Broda jest prawdziwą — odparła Lady Maud — i to jest mój mąż. Rozmawiałam z nim przez cały dzień; wie takie rzeczy z mego życia, których nikt inny znać by nie mógł; a jeżeli na pewnych punktach okazuje nieświadomość, to zapewne dla tego, że nie chce się z tem zdradzić, że wie wszystko.

Van Torp potrząsnął głową nieprzekonany; ale i Lady Maud pozostała przy swoim; zaczęła się zastanawiać czy nie byłoby najlepiej powiedzieć wręcz Kralinskiemu że go poznała, i raz wyjść z tej niepewności, która z każdą chwilą stawała się trudniejszą do zniesienia.

Ani Małgorzata ani pani Rushmure nie widziały nigdy Levena, i nie miały najlżejszego pojęcia, co się działo przed ich oczyma. Widziały tylko, że Lady Maud prawie narzuca się hrabiemu, a jeżeli Małgorzata zastanawiała się czy tak dalece myliła się w dotychczasowym swoim sądzie o charakterze przyjaciółki; to pani Rushmure nie miała pod tym względem żadnej wątpliwości.

— Moje drogie dziecko — rzekła do Małgorzaty — twoja przyjaciółka pocieszy się wkrótce. To zwykła kolej rzeczy z wdowami w tym wieku. Co do mnie, nigdy zrozumieć nie mogłam, jak można wyjść za mąż powtórnie. Było by mi się zawsze zdawało, że mój drogi nieboszczyk mąż jest w pokoju. Prostu rumienię się na samą tę myśl. Swoją drogą jest to fakt niezaprzeczalny, że większość młodych wdów wstępuje w powtórne związki małżeńskie. Zapamiętaj sobie moje słowa, Małgorzato, twoja przyjaciółka pocieszy się niezadługo. Nie z tym to z innym. Jestem o tem najmocniej przekonana.

O zachodzie słońca yacht minął już Otranto i dążył ku cieśninie Messyńskiej robiwszy w ciągu dwudziestu czterech godzin tyle drogi, ile małe, włoskie parowce odbywają w ciągu czterdziestu ośmiu; i prawie półtora raza tyle, ile mogła zrobić *Erinna*, przy swej największej szybkości. Prąd powietrza wywołany szalonym pędem statku był tak silnym, że żaden kapelusz kobiety nie byłby się utrzymał na najbujniejszej fryzurze, choćby przytwierdzony do niej paroma szpilkami; ale pokład był doskonałe

osłonięty i można było przechadzać się po nim spokojnie nie zbliżając się jednak zbyt do burtu.

Po obiedzie pani Rushmore i Kralinsky zaczęli spacerować jak poprzedniego wieczora, ale nim usiedli, lady Maud, porzuciła towarzystwo Małgorzaty i pana Van Torpa i stanęła oparta o białą ścianę masywnego luku tak, że musieli przechodzić tuż koło niej za każdym razem; i za każdym razem Kralinsky mijając ją wiedział, że patrzy na niego, w sposób, dający mu wyraźnie do zrozumienia, żeby się uwolnił od swojej towarzyszk i podszedł ku niej.

Pani Rushmore widziała to również, a ponieważ uważała Kralinskigo za znakomitość, co mu dawało prawo do powodowania się własnymi chęciami, przeto ułatwiła mu zadanie.

— Kochany hrabio — rzekła mu słodko, przeszedłszy dwukrotnie koło Lady Maud — mam już dosyć tej przechadzki, i jeżeli mi przyrzekniesz, że jej sam dokończysz pójdę usiąść przy Małgorzacie i panu Van Torp.

Kralinsky odprowadził ją i wrócił do Lady Maud, która postąpiła parę kroków na jego spotkanie, po czym zawróciwszy raptem wsunęła się za rodzaj parawana, jaki w tem miejscu tworzyły wielkie wentylacyjne wachlarze i stanęła tam, odgradzona od reszty towarzystwa, wytwarzając sobie tym sposobem zupełnie sam na sam z Kralinskym. Nikt ich tam nie mógł ani widzieć, ani słyszeć.

— Muszę pomówić z panem — rzekła cichym, stanowczym głosem. — Proszę, wysłuchaj mnie spokojnie bo tamci mogliby zacząć spacerować i przeszkodziliby nam.

Kralinsky skłonił głowę dwukrotnie, poczem pochylił się ku niej, aby lepiej słyszeć.

— Podobało ci się odgrywać tę komedję przez dwadzieścia cztery godziny — zaczęła.

Uczynił lekkie poruszenie, co zresztą było całkiem naturalnem zważywszy na okoliczności.

— Nie rozumiem — rzekł swym, jakby naoliwionym, głosem. — Jaką komedję? Doprawdy, ja...

— Daj pokój — przerwała mu ostro. — Wysłuchaj, co ci mam powiedzieć a potem postanowisz co masz czynić. Postanowienie twoje nie może wpłynąć tak dalece na mój stosunek do ciebie, ale wpłynie na twój stosunek do świata i do ciebie samego. Zobaczyłam cię przez okno hotelu w Bayreuth, gdy

podwoziłeś pana Van Torpa i poznałam cię odrazu. A teraz niemam już żadnej wątpliwości.

— Nie widziałem pani nigdy w życiu aż do wczorajszego wieczora — odpowiedział Kralinsky z pewnem zdziwieniem lecz tonem zupełnej pewności.

— Czy sądzisz, że będziesz mógł oszukiwać mnie dalej? — zapytała — Powiedziałam ci dzisiaj, że gdybyś mógł wrócić z tamtego świata i wiedzieć całą prawdę, przebaczylibyśmy sobie wzajemnie, pomimo tylu naszych nieporozumień. Więc jakże będzie?

Umilkła na chwilę i spostrzegła, że był silnie wzruszony.

— Nie znaczy to, żebyśmy mieli powrócić do dawnego życia — ciągnęła dalej — bo od początku nie byliśmy dobrem małżeństwem. Ty, ożeniłeś się ze mną, bo byłam ładną: a ja poszłam za ciebie, bo chciałam wyjść za mąż, a ty byłeś przystojny i zdawałeś się posiadać to co uważałam za potrzebne, majątek i przyzwoite stanowisko. Nie, nie przerywaj mi. Przekonał się wkrótce że nie jesteśmy stosowni dla siebie. Ty poszedłeś w swoją stronę, ja w swoją. Nie chcę ci czynić wyrzutów, bo skoro spostrzegłam, że zaczynam ci obojętnieć nie uczyniłam nic, aby cię przywiązać do siebie. Ja sama miałam już dosyć tego. Ale pomimo to byłam ci wierną żoną. Pan Van Torp dawał mi dużo pieniędzy i dotychczas daje na moje miłosierne uczynki. Mogę to udowodnić. Nie wzięłam z tych pieniędzy ani jednego grosza dla siebie i nie wezmę; a on był dla mnie i pozostanie na zawsze niczem więcej, niż zaufanym przyjacielem. Nie wiem dla czego uznałeś za właściwe zniknąć, gdy na skutek pozorów rozgłoszono, że to ciebie zabiła bomba. Nie wchodzę w to; i jeżeli chcesz żyć nadal pod cudzem nazwiskiem, teraz, kiedy jesteś bogaty, nie zdradzę cię, i mało kto pozna cię, przynajmniej w Anglii i dopóki będziesz nosił brodę. Ale gdyś się pobrali nosiłeś brodę i dlatego poznałam cię odrazu, a gdy się dowiedziałam, że pan Van Torp zaprosił cię na tę wycieczkę, postanowiłam natychmiast wziąć w niej udział i powiedzieć ci to, co ci teraz mówię. Gdy myślałam żeś zginął przebaczyłam ci wszystko, i śmierć twoją przyjęłam jako wybawienie; ale skoro żyjesz, broń mnie Boże, bym ci miała życzyć śmierci. Wzamian za moje przebaczenie żądam dwóch rzeczy: naprzód twego przebaczenia bo, ja moją obojętnością zawiniłam wzglę-

dem ciebie, a powtóre musisz odwołać wszystko, co mówiłeś o mnie i o panu Van Torp, bo nie było w tem cienia prawdy. Czy uczynisz to? Niczego więcej nie żądam.

— Uczynię, moja droga Maud, możesz być pewną — rzekł hrabia Kralinsky, silnie wzruszonym głosem.

Lady Maud odetchnęła głęboko i lekki dreszcz wstrząsnął jej ciałem. Uczyniła, co uważała za swą powinność, i nie było to rzeczą łatwą. Nie dziwiło ją milczenie, w jakim ją wysłuchał; bo czuła, że jej prawem było mówić, a jego obowiązkiem słuchać.

— Dziękuję ci — rzekła po chwili — Nie powrócę już nigdy do tego przedmiotu, i żadne z nas nie potrzebuje wspominać przeszłości podczas tej wycieczki. Nie potrwa ona długo, bo prawdopodobnie w pierwszym porcie, gdzie się zatrzymamy wysiądę na ląd i zapewne nie spotkamy się już nigdy w życiu. A jeżeli byśmy się spotkali, to będę zachowywać się względem ciebie, jak gdybyś był hrabią Kralinskym, przygodnym znajomym, ani mniej, ani więcej. Sądzę, że sumienie nie pozwoli ci ożenić się powtórnie. Może, gdybym widziała, że szczęście innej kobiety wchodzi w grę zgodziłabym się na rozwód; ale ty nigdy się ze mną nie rozwiedziesz, wbrew mojej woli.

— Żadna siła ludzka nie skłoni mnie do tego — odpowiedział Kralinsky, wciąż głęboko wzruszony. — Nie byłem sobą w owym czasie, Maud, straciłem głowę, nagabywany przez dłużników i kobiety, nie warto dotknąć kraju twojej sukni. Później dopiero otworzyły mi się oczy na to wszystko. I oto jest główna przyczyna, dla której postanowiłem zniknąć ze świata i rozpocząć inne życie pod innem nazwiskiem. Przyśięgam ci na duszę mojej matki w niebie że jedynym mojem pragnieniem było wrócić ci wolność i samemu stać się nowym, lepszym człowiekiem. Myśl o powtórnem małżeństwie nawet mi w głowie nie powstała. Czy masz mnie aż za takiego nikczemnika? Ale nie bronię się; jakżebym mógł. Wszystkie prawa są po twojej stronie, a wszystkie winy po mojej. A teraz oddałbym wszystko na świecie, by odrobić to co się stało i wrócić do ciebie.

Dalszy ciąg nastąpi.



